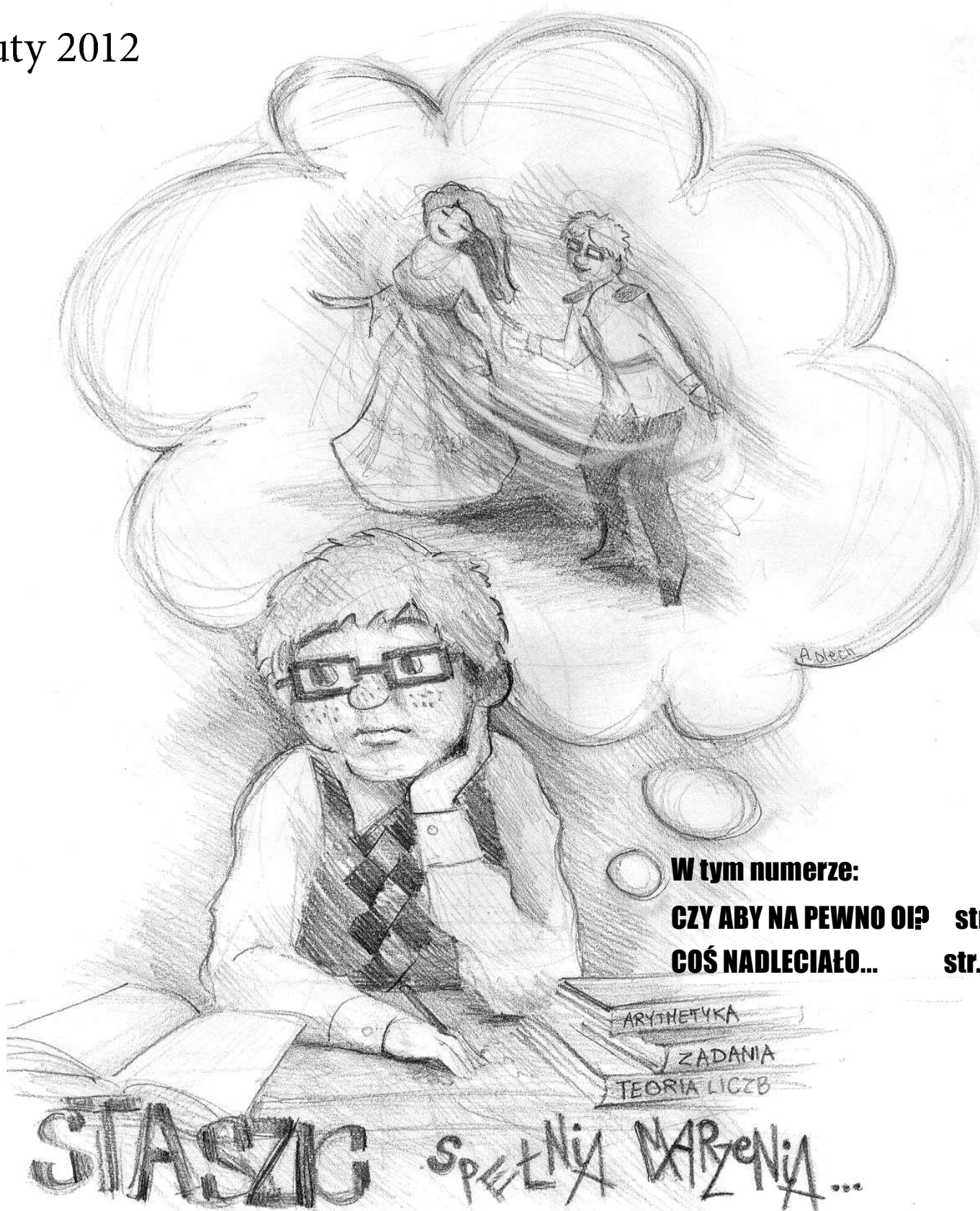


staszic

kurier

luty 2012



W tym numerze:

CZY ABY NA PEWNO OI? str. 5

COŚ NADLECIAŁO... str. 14

STASZIC SPEŁNIŁ MARZENIA...

Jakub Mrożek
Marian Wiatr



Od Naczelnych:

Ferie za nami, zima sama nie wie, czy chce nam uprzykrzyć życie czy nie, odbyły się już chyba wszystkie drugie etapy olimpiad przedmiotowych a tydzień temu rozpoczął się Wielki Post – na szczęście nie zapchał na razie Forum Staszicum. Za nami również dwie wielkie imprezy – studniówka i Bal Staszicowy.

Tak jest, lutowy numer rozpoczynamy całkiem czerstwym sucharkiem. Pewnie myślicie, że mamy wobec tego jakiś tekst o Forum Staszicum. Nie mamy. Nawiązanie było trochę dalsze – od września w pierwszym akapicie wstępu do numeru piszę o olimpiadach przedmiotowych. Jedna z nich, a właściwie jej nazwa, budzi szczególne kontrowersje. Mowa oczywiście o **Olimpiadzie Informatycznej**, przez niektórych uparcie nazywaną Algorytmiczną. Problem nomenklatury w kontekście tegorocznego drugiego etapu oraz innych ważkich przesłanek analizuje Stanisław - jego artykuł możecie znaleźć na stronie 5. Pozwolę sobie szczególnie go polecić, bo obawiam się, że ci z was, Drodzy Czytelnicy, którzy nie są zainteresowani informatyką, mogą nawet na ów tekst nie rzucić okiem. A warto.

Chopin, Bach, Beethoven (przez niektórych nazywany pierwszym metalowcem) – określenie tych panów wspólnym mianem nikomu nie sprawi problemów. Od dawien dawna wiadomo było, kim jest kompozytor i czym się zajmuje. Dzisiaj kawałki zespołów rockowych układa zwykle gitarzysta, a wiele utworów innych gatunków muzycznych nie jest tworzonych przez jedną osobę, ale zespół kilku. Istnieją jednak ludzie często nazywani **współczesnymi kompozytorami**. Czy aby na pewno na to zasługują, czy są to jedynie puste tytuły nadawane ludziom, którzy w nie powinni być tak określane? Kwestię tę roztrząsa Dominik na stronie 7 w kąciku Hejtera - wprawdzie artykuł jest niezwykle jednostronny, ale na szczęście jest to ta druga strona. Gdyby był trochę bardziej kontrowersyjny, można by było powiedzieć, że jest strasznie kontrowersyjny.

Komiksy czytali chyba wszyscy, gdy byli w odpowiednim wieku. Teraz większość z nas już tego nie robi. Jednakże pewien rodzaj tej formy sztuki na trwałe ulokował się w kulturze pewnego kraju. O **mandze** napisał nasz redakcyjny znawca Japonii – Mateusz. Jego artykuł znajdziecie na stronie 10.

Sztuka ma różne oblicza. Jednym z najstarszych jest odwoływanie się do **ludzkiej płciowości**. Wątpię, czy niespodzianki znajdowane przez niektórych w zeszytach zaliczają się do tej kategorii, ale na stronie 9 możecie przeczytać krótki tekst Kuby o wdzięcznym tytule *ars erotica*.

Powraca **rozpiska kulturalna** – w tym numerze wydanie marcowe (str. 19). Pragnę przypomnieć iż prowadząca tę stałą rubrykę jest od niedawna panią prezydent Samorządu Uczniowskiego naszej kochanej szkoły. Moim zdaniem należy jej się szacunek za to, że pomimo obowiązków szkolnych i pełnienia tej jakże ważnej funkcji znajduje również czas na pisanie do Staszic Kuriera!

Jeżeli masz ciekawe pomysły, lubisz pisać, rysować lub po prostu masz jakieś hobby czy rozległą wiedzę z jakiejś dziedziny i chciałbyś się nią podzielić – pisz do nas! Czekamy na Was wszystkich, bo Staszic Kuriera tworzy i tworzyć będzie cała społeczność XIV LO!

Piszcie na kurier@staszic.waw.pl

Spis treści

Walentynki	4
Czy aby na pewno O!?	5
S. P. Kompozytor	7
Ars erotica	9
Tam, gdzie kreska góruje wśród form	10
Wierszem pisane...	13
Coś nadleciało	14
Suq	15, 20
Krótko rozumie historię, cz. I	16
Bal na sto par, a wśród nich...	18
Marcowa rozpiska kulturalna	19

Walentynki



Tak, wiem, że już dawno minęły. Jednakże postanowiłam o nich napisać. Na początek trochę historii, ale nie bójcie się – nie będzie nudno. Jak można się łatwo domyślić, święty Walenty jest patronem zakochanych. Jednak mało ludzi wie dlaczego. Na to pytanie postaram się odpowiedzieć krótką historijką.

Był sobie kiedyś cesarz Klaudiusz III Gocki. Chciał mieć najlepszą armię świata – wiadomo, każdy chce być w czymś najlepszy. Złe głosy jego doradców szeptały mu dziwne rzeczy. Twierdzili, że wojownik jest bardziej skuteczny, gdy nie ma żony ani dzieci. Klaudiusz, niewiele myśląc, zabronił żenić się mężczyznom w wieku 18-37 lat. W tym samym czasie żył sobie Walenty, który był wtedy biskupem. Nie zgadzał się z postanowieniem cesarza. Udzielał więc potajemnie ślubów młodym zakochanym, którzy oczywiście byli mu dożgonnie wdzięczni. Uszczęśliwił mnóstwo par. Niestety Klaudiusz miał oczy wszędzie. Dowiedział się, że biskup łamał jego zakaz. W zasadzie ci, którzy brali śluby, też łamali, ale nie wiem co się z nimi stało. W każdym bądź razie – Walenty został wtrącony do więzienia. Tam, na swoje nieszczęście, zakochał się w niewidomej córce strażnika. Jednakże pod wpływem

pozytywnych uczuć Walentego, odzyskała wzrok. Wieść ta wkrótce dotarła też i do Klaudiusza, który zamiast wielbić biskupa za taki cud, kazał go zabić. Biedny Walenty. Padł ofiarą głupoty i egocentryzmu. Przed swoją śmiercią



napisał do ukochanej list pożegnalny. Egzekucji dokonano 14 lutego, wtedy też córka strażnika otrzymała pierwszą w historii walentynkę, którą biskup podpisał: „Od Twojego Walentego”. Koniec.

Właśnie taki to był los patrona kochanków. Już teraz wiemy dlaczego. Poświęcił swe życie w imię miłości. Miłości, którą darzyli się inni, którą on darzył córkę strażnika. Dzień świętego

Walentego przypomina nam o tym, że miłość jest i warto o nią walczyć. Często zabiegani, zmęczeni lub znudzeni zapominamy o drugim człowieku, zapominamy o tym, kim dla nas jest i ile dla nas znaczy. Walentynki to wspaniałe święto – nie tylko dla par, ale także dla przyjaciół i rodzin. Dzień życzliwości i radości. Naprawdę warto otworzyć wtedy oczy i popatrzeć na bliskich. Nie zamartwiać się tym, że kina są zawalone i wszędzie naokoło słodkie serduszka i tulące się pary, a my siedzimy samotni w domu. To super, że jest tyle par, że czują się ze sobą dobrze. To powinno być budujące. Na każdego przyjdzie czas, a w to święto warto skupić się na drugiej osobie – przyjaciółce, mamie, tacie, dziadku, a może koleżdze z klasy. Małe dzieci robią w przedszkolach, szkołach podstawowych walentynki. Myślę, że to cudowny zwyczaj, że takim

drobnym gestem można okazać komuś swoją sympatię. Przykładem może być mój brat, który przyniósł z przedszkola walentynki dla mamy i taty, a moja siostra zrobiła dla koleżanki i kolegi. Wszyscy byli zadowoleni, bo wiadomo, że więcej szczęścia przynosi dawanie niż otrzymywanie :).

zielona traffka.

fot. Autor

staszic **kurier**
on-line

ZAPRASZAMY!
kurier.staszic.waw.pl

CZY ABY NA PEWNO OI?

CZYLI PONIEWAŻ NASZ ALFABET NIE ZAWIERA ALFY ANI BETY

STANISŁAW DOBROWOLSKI

Mniej więcej w roku 1991 pewien student Uniwersytetu Helsińskiego zaczął pisać program na swój komputer PC. Program ów miał z założenia służyć tylko i wyłącznie do komunikacji z serwerami uniwersytetu. Ze względów wydajnościowych autor postanowił uniezależnić go od powolnych, prymitywnych i ograniczających systemów operacyjnych dla „mikrokomputerów”, jak je wówczas zwano. Oczywiście wymagało to umieszczenia w kodzie wielu zwykle gotowych procedur, ale niezrażony programista po prostu to zrobił. Po paru miesiącach i bardzo uważnej analizie kodu Torvalds poinformował świat, że kończy tworzenie małego systemu operacyjnego.

Po co o tym piszę? Z tej pozornie banalnej historii płynie bardzo ważny morał, którym nie przejmują się ani politycy, ani komitet Olimpiady Informatycznej. Nazwa powinna opisywać to, co jest, nie to, co *miało* powstać.

Dosyć powszechnie znany jest ruch posługujący się określeniem „Olimpiada Algorytmiczna”. Cóż, Olimpiada Naprawdę Informatyczna byłaby horrorem dla Jury. Projektowanie przyjaznej strony internetowej, wyszukiwanie informacji w plikach pomocy, łamanie zabezpieczeń w grach czy serwerach np. komitetu olimpiady? A dlaczego nie? W końcu wszystko to informatyka. Jeśli na OM jest praktycznie gwarantowane kilka zadań geometrycznych, to krakerzy powinni również mieć jedno standardowe generowanie klucza płyty na OI. Załóżmy, że zmieniamy OI na Olimpiadę Programistyczną i ustalamy, że teraz nazwa ma być prawdziwa. Wówczas standardowo główną częścią OP byłoby zapewne pisanie eseju nt. *Jaki język programowania zastosowałbyś do rozwiązania problemu X i dlaczego*. Chociaż kilka razy trafiłyby się

budzące postrach tematy typu *Błąd Motoroli 88000, Moja opinia na temat automatycznego odświeżania pamięci* albo, o zgrozo, *Wpływ zastąpienia myszy kotem na zachowania użytkownika*.¹

Chyba nie o to nam chodziło. Chcieliśmy, aby uczestnicy pisali programy. Może chcieliśmy mieć Olimpiadę Programowania. Załóżmy, że przekonamy do doskonałości tego pomysłu lingwistów. I co? Pojawia się oczywiście kłótnia o to, co będziemy programować. Bazę danych? Grę? Wygaszacz ekranu? A, i konia z rzędem temu, kto nie tylko wybierze najlepsze 80 wygaszaczy z tych spełniających warunki zadania, ale jeszcze wybierze taki zestaw bibliotek, który nie banalizując konkurencji zadowoli większość piszących. Bo, szczerze mówiąc, domyślnie dostępne w większości języków „gotowce” nieszczerze pomagają w pisaniu wydajnego wygaszacza. Pisanie biblioteki specjalnie na Olimpiadę? Może jeszcze na każdą? A ktoś mógłby zaprotestować, że programistą jest dobrym, tylko zmysłu estetycznego mu brak. To może jednak baza danych? Pojawia się analogiczne problemy: dziwny interfejs użytkownika, niejednoznaczne komunikaty. Albo bardzo nudne zadania.

Wydaje się w pierwszej chwili, że Olimpiada Algorytmiczna jest całkiem dobrą nazwą. Puryści znaczeniowi mogliby ewentualnie zażądać Olimpiady Zaawansowanej Algorytmicznej. Dobra nazwa, nie? Nie.

Zadania z niedawnego (w momencie pisania) drugiego etapu XIX OI wywołały pewien dyskomfort wśród niektórych, powiedzmy, zainteresowanych. Ale wbrew pozorom wcale nie były one, moim skromnym zdaniem (a wcale nie jestem pewien przejścia), jakoś wyjątkowe pod względem posiadania niepożądanych, *niesprawiedliwych*, cech. Cechy te były dobrze widoczne,

to prawda. Nie zmienia to jednak pewnego interesującego faktu: te *niesprawiedliwe* zadania były jednocześnie uznane przez część osób za zbyt łatwe.

Sprawiedliwości, jak wiadomo, na tym świecie nie ma – jeśli uznamy ją za własność zadań. Powiedzmy sobie szczerze, że tegoroczne były po prostu częściowo *nieprzewidziane*.

Nie chciałbym wchodzić w szczegóły techniczne, bo nie piszę do *Shadermastera*, tylko do *Staszic Kuriera*. Jest jednak jedna kalka językowa, która ułatwi nam dalszą komunikację. *Brut*. Program brutalny. Najprościej będzie określić go mianem bezpośredniej implementacji treści zadania. Jeśli zamieniacie mnożenie przez n na $n-1$ operacji dodawania, podczas planowania odwiedzenia koleżanki na Mokotowie rozważacie drogę przez Moskwę i Paryż, a pakowanie na wycieczkę wygląda w waszym wypadku tak, że wrzucacie do plecaka każdą możliwą kombinację planszówek, a na koniec wybieracie najlepszą kombinację z tych, w których wypadku zamek się zapiął, to wiecie mniej więcej, jak działa *brut*.²

Jedna z „zasad” uczestników OI jest prosta: jeśli nie dysponujesz ładnym rozwiązaniem, a masz/możesz szybko stworzyć *bruta* (albo coś podobnego), to go wyślij, masz szansę na parę punktów. Inna „zasada” mówi, że usprawniony *brut* to może nie jest jeszcze ładne rozwiązanie, ale często daje zaskakująco dobre wyniki. Dwa *niesprawiedliwe* zadania z czterech ostatnich można zaliczyć do kategorii „wyślij trochę zmodyfikowanego bruta”. W jednym wypadku było to wręcz przewidziane przez organizatorów. W drugim chyba mieliśmy do czynienia z bardzo ciekawym skutkiem ubocznym dobroci twórców zadania. Otóż doszli oni do wniosku, że mało kto osiągnie „kretyńsko szybkie” rozwiązanie, więc postanowili tak ustawić poprzeczkę czasową, ►

¹ Być może ten przykład stanie się nieco mniej śmieszny, gdy wyjaśnię, że w latach 90. wiele osób określało tak to, co z angielska zwie się trackball. Koty były na przykład lubiane przez nielicznych właścicieli laptopów. Wiele osób uważało je również za szpanerską alternatywę dla myszy w strzelankach, co z pewnością ma związek z ich ówczesną „płaskością”. Kot miał się do myszy jak teraz mysz do pada.

² Jak zauważy programista, zależnie od jakości dróg w Europie drugi przykład jest albo śmieszny, albo smutny, ale prawdziwy.

► by program oparty na dużej części wniosków potrzebnych do uzyskania takowego również dostawał dobre oceny. Okazało się, że istnieje taka uproszczona optymalizacja, która wymaga znacznie prostszego rozumowania i daje porównywalne (aczkolwiek, oczywiście, słabsze) efekty. Jeżeli ekspert żali się, że rozwiązanie tych zadań nie dało mu satysfakcji, to może go częściowo rozumiem. Jeśli ktoś twierdzi, że *przekombinował* z tymi zadaniami, to współczuję. Jeśli ktoś nie zauważył jakiejś własności, to się po prostu zdarza. Ale narzekanie na to, że *zadania były za łatwe*, więc ich oczywiste rozwiązania pominięto jako podejrzane, doprowadzają mnie do szału.

Nie z powodu osób narzekających, tylko tego, że w kontekście OI paradoksalnie mają trochę racji.

W wielu zadaniach autorzy stosują *atak na rozwiązanie standardowe*. W skrócie, prosi się kilka osób, żeby napisały *jakieś* rozwiązania w np. godzinę, po czym jeśli okazuje się, że nie są one tym, o co chodziło twórcom, nie zachwycają ich, ale zaliczają testy, natomiast mają jakieś charakterystyczne słabe punkty, to testy zmienia się tak, aby tym programom *zaszkodzić*. O ile istnieją listy standardowo *nie lubianych* prostych chwytów, o tyle wielokrotnie częściej karane (albo, oddajmy trochę racji, neutralizowane) są proste chwytów dostosowane do zadania. Więc czy opłaca się w końcu pisać tego usprawnionego bruta, czy nie? Podobnie jest z tajemniczymi przypuszczeniami na temat treści zadania. Na każdy błąd prawdziwy przypada kilka fałszywych, często przewidzianych i ukaranych. Jeśli za wcześniej tego nie zauważymy, nasze błędne rozwiązanie otrzyma bardzo mało punktów.

Jakby tego było mało, zdarzają się zadania, w których uzyskanie choćby miernego wyniku wymaga dużej ilości tzw. kombinacji. Wówczas rzeczywiście lepiej np. „zająć się tym drugim zadaniem”.

Nie krytykuję szczególnie takich praktyk. Nie rozumiem tylko, czemu są one ogólnie uznane za bardziej sprawiedliwe od umieszczenia wśród

czterech zadań dwóch, jak się okazuje, prostszych.

Jeśli ktoś sprzeciwia się mi i twierdzi, że tegoroczna olimpiada była wyjątkowo nieuczciwa, z chęcią przeczytam odpowiedź. Ale od razu chciałbym wystąpić przeciw pierwszemu oczekiwanemu argumentowi: tegoroczne zadania nie wymagały znajomości różnych skomplikowanych programistycznych „standardów”. Odpowiedź brzmi: w czym problem?

Nie będę ukrywał: w przejściu pierwszego etapu OI dopomogła mi wyszukiwarka Google. Nie, nie szukałem rozwiązań zadań. Szukałem standardowych algorytmów, co do których podejrzewałem,



że istnieją. Dwa znalazłem. Nie kończyły problemów, ale je upraszczały. W praktyce miło jest znać podejście do jakiegoś typowego problemu, ale zdecydowanie lepiej umieć je w razie potrzeby znaleźć.

Oczywiście nie należy pamiętać o piszących, którzy mają problem z zamienieniem wartości zmiennych. Ale wyrażam sprzeciw wobec żalenia się na, przykładowo, tegoroczną bezużyteczność naszej wiedzy na temat liczb zespolonych, znajdowania ścieżek Eulera i struktury USS.

Przypominam, że OIG w tym roku zaczęła się testem, teoretycznie na temat programowania. Może zamieścimy w OI taki właśnie test, w którym na przykład otrzymamy 10 punktów za wiedzę, czym jest mechanizm Duffa³. Jest to najlepszy sposób upewnienia się, że uczestnicy go znają.

W pisaniu programu stan-

dardowe mechanizmy mogą pomóc – ale nie muszą. Wszystko zależy od zadania. Może się trafić takie, w którym wystarczy zawsze wypisać zero – tylko trzeba to zauważyć. I co? I nic.

OI próbuje wyróżnić geniuszy algorytmiki. Jeśli nimi nie jesteśmy i spoglądamy na sprawę bardziej egalitarnie, uważając za całkowite zwycięstwo osiągnięcie tytułu finalisty... wszystko zależy od naszego szczęścia w trafieniu na dopasowane do nas zadanie. Należy zrozumieć, że jeśli nie chcemy przemiany tej imprezy w mniej lub bardziej dosłowny test na znajomość algorytmów, nie możemy również sprawić,

by zadania były „sprawiedliwe”. Zawsze trafi się ktoś, kto zna jeden algorytm więcej, albo rozważał jeden dodatkowy podobny do opisanego problem.

Niniejszym proponuję zmianę nazwy Olimpiady Informatycznej na Totalizator Maturalno-Algorytmiczny. Z Ułatwieniami dla Geniuszy. Bo i im noga może się powinąć. W końcu tu nie musi wygrać najlepszy, bo zależnie od losu najlepiej *na starcie* miał zapewne ten, który wygrał.

Miał wygrywać najlepszy, więc jest to olimpiada? W takim razie Linux jest nieprzenośnym emulatorem terminala.

³ Nie sprawdzajcie, co to jest. Nie warto. W końcu zwykle programowanie traktujecie jako „coś, co służy do OI”.

Ś. P. Kompozytor

czyli „Muzyka filmowa? Dziękuję, postoję.”



DOMINIK PLEWA

Jeżeli słuchacie muzyki, jak to się zwykle mawiać, „filmowej” (choć dużo lepszą kategorią jest muzyka ilustracyjna, ale ta obejmuje nieco szerszy zakres utworów), to zapewne kojarzycie takie nazwiska, jak John Williams, Hans Zimmer czy Howard Shore. Mam dla Was smutną wiadomość – większości z nich nie nazwałbym kompozytorami.

Bo jaką wartość ma ten tytuł, gdy co drugi wyjec ma przy nazwisku stale przypięty ogonek „piosenkarz i kompozytor”?! Ten termin znacznie się zdevaluował i nawet w odniesieniu do tak zwanych (o tym, dlaczego tak zwanych – dalej) „twórców” muzyki filmowej nie użyłbym określenia używanego w stosunku do takich talentów jak Mozart czy Beethoven, którzy swoje dzieła pisali samodzielnie.

Po obejrzeniu filmu, w którym podobała nam się muzyka, nieraz zastanawiamy się, kto wymyślił tak wspaniały motyw, że aż nucimy go sobie po wyjściu z kina. Autor zazwyczaj podawany jest albo w napisach początkowych, albo zaraz na początku napisów końcowych. Problemem jest jednak to, że często, widząc w filmie „Muzyka: Ten i Tamten”, wyryte to zostaje w naszej pamięci.

Hans Zimmer, syn Lorne’a Balfa

Nie zwraca się za to wcale uwagi na pozostałych, czyli ludzi odpowiedzialnych za muzykę dodatkową (często tzw. „underscore”) i orkiestrację. Powodem tego jest najpewniej pycha kompozytorów – znane nazwisko ułatwia rozgłaszanie swojego rzekomego autorstwa ścieżki dźwiękowej. Prawdopodobnie kierują się oni hasłem „Główne tematy są moje, więc ja jestem najważniejszy. Kogo będzie obchodziło, kto je zorkiestrował?”. Może też kierują się lenistwem. Wielu kompozytorów woli się najwyraźniej wysługiwać innymi, niż samemu usiąść i rozpisać wszystko na orkiestrę. A jak wszyscy wiemy, łatwiej jest wymyśleć kilka nutek i akordów, niż rozpisać to jeszcze na orkiestrę symfoniczną, gdzie trzeba

dokładnie pilnować skal i technicznych szczegółów współbrzmienia instrumentów. No i łatwiej jest przypisać sobie zasługi, gdy w grę wchodzi kilkuset tysięcy honorarium, czyż nie?

Zachowania te są zrozumiałe. Często jako widzowie przywiązujemy większą wagę do tematu muzycznego i do tego, jak do filmowego obrazu pasuje to, co „leci” w głośnikach, a nie jak opracowana została ścieżka muzyczna. Myślimy: „Napisane było «Muzyka: Ten i Tamten», no to Ten i Tamten zrobił wszystko, nie?”.

Najlepszym przykładem muzycznej pychy „kompozytorów” jest Hans Zimmer. Nie wchodząc w analizę jego dzieł powiem krótko: udało mu się tak wypromować swoją osobę, że gdziekolwiek macza palce, ludzie zapominają o jego współpracownikach, albo nawet o twórcach głównej ścieżki muzycznej. (Ostatnio nawet próbowano mi wmówić, że to Zimmer jest twórcą ścieżki dźwiękowej do „Requiem dla Snu”!). Hans przypomina mi trochę bohatera, który cały czas się pcha w przygodę, a na końcu ludzie i tak jego wychwalają, chociaż z wszystkich niebezpiecznych sytuacji ratuje go wierny giermek – od jakiegoś czasu w tej roli ujrzyć można Lorne’a Balfa.

Zaangażowanie Lorne’a stało się ostatnimi czasy wręcz natrętne. Gdy widzę jakieś „dzieło” Hansa Zimmera z ostatnich kilku lat, to wśród autorów niemal zawsze jest Lorne. Do niedawna cenilem Hansa za ścieżkę muzyczną do „Incepcji”, gdyż myślałem, że jest autorem całej oprawy muzycznej. Szczerze się zawiodłem, gdy zobaczyłem, że za muzykę dodatkową odpowiada Lorne Balf. A jeszcze bardziej, gdy odkryłem, ilu pracowało przy tym orkiestratorów.

Kondukt pogrzebowy

Z muzyką dodatkową jest łatwiej. Jak już wspomniałem, często jest to „underscore”, czyli wypełniacz ciszy. Kompozytor musi pamiętać, żeby też nie odchodziła zbyt od jego genialnego motywu przewodniego i klimatu, które on nakreślił. Ale co się będzie on, wielki kompozytor, męczył z tym banałem? Niech kto inny to zrobi, przecież to prościzna! No i w większości taki twórca muzyki dodatkowej pisze smęt, który i tak będzie ledwo słyszalny podczas filmu.

Praca orkiestratora i kompozytora muzyki dodatkowej może być też trochę niewdzięczna. Pierwotnie muzyką do filmu „Piraci z Karaibów: Kłątwa”



Hans Zimmer

► „Czarnej Perły” miał się zająć Alan Silvestri, ale zwolniono go i na jego miejsce zatrudniono Klause Badelta oraz cały zastęp dodatkowych kompozytorów. (Wcześniej stanowisko głównego kompozytora proponowano Hansowi Zimmerowi, ale on zadowolili się stanowiskiem producenta muzycznego, co i tak nie przeszkodziło mu w chwaleniu się, że on wymyślił prawie wszystkie tematy do filmu. Widzicie, jaki pyszałek?). Cały ten chaos zaowocował robieniem muzyki miesiąc przed premierą filmu. 9 kompozytorów dodatkowych, 7 orkiestratorów i ogromny pośpiech (nie wiem, czy to prawda, ale prace ponoć trwały też na dzień przed premierą filmu!), a na końcu i tak Badelt razem z Zimmerem (jako producentem muzycznym) okryli się największą chwałą. Sam byłem zaskoczony liczbą nazwisk przy muzyce w napisach końcowych, aż mi do głowy wleciało pytanie: To kto jest autorem czego? Czemu nie mogę zobaczyć kto napisał ten utwór, a kto tamten?

Stwierdziłem zatem, że słowo „kompozytor” stało się w dzisiejszych czasach bardzo naciągany określenie. Chrzczą się nim wszyscy potrafiący napisać melodię, a osoby odpowiedzialne za aranżację stają się po prostu podwładnymi. Według mnie kompozytor to osoba tworząca muzykę, nadająca jej odpowiednie brzmienie, wiedząca jak ma służyć, co ma nieść, a nie autor melodii, półproduktu do przerobienia przez kogoś innego. W ten sposób traci się pojęcie o tym, kto w rzeczywistości odpowiedzialny jest za muzykę do filmu.

Niech żyje w naszej pamięci

Innym przykładem „zapominania” o orkiestratorach i muzyce dodatkowej są wszelakiego rodzaju rozdania nagród filmowych (np. Amerykańskiej Akademii Filmowej). Jedynie wśród Nagród Tony, przyznawanych za osiągnięcia teatralne, znalazłem dziedzinę „najlepsza orkiestracja”, a i tak

dotyczy to tylko i wyłącznie musicali. Rozumiem, że takie rozdrabnianie się nie ma sensu, ale nagradzanie osób, które często tylko wymyśliły główne tematy muzyczne, mija się trochę z celem (w końcu nagroda jest za muzykę, a nie dla osoby).

Warto dodać, że w muzyce klasycznej nie spotkałem się jeszcze nigdy z kompozytorem, który oddawał swoje utwory do zorkiestrowania przez kogoś innego albo który, po wymyśleniu tematów symfonii, dawał ją do wykończenia komuś innemu. Teoretycznie można by podciągnąć tu Sergiusza Prokofiewa, który z powodu dużej ilości pracy oddawał swoje utwory do zorkiestrowania. Były to jednak zapiski tak szczegółowe i skomplikowane, że w praktyce okazywało się to raczej przepisywaniem gotowego utworu, a nie instrumentowaniem od zera. Oczywiście, zdarzali się kompozytorzy, którym nie bardzo wychodziły próby z orkiestrą, ale nie przejmowali się tym, tylko tworzyli świetne utwory na inne instrumentarium (Fryderyk Chopin, żeby daleko nie szukać).

Dla przykładu: o kształt i brzmienie symfonii Gustava Mahlera (które często zjadają sporo dzisiejszego „ŁUBUDUBU” na śniadanie, a resztę dzielą na pozostałe posiłki dnia) musiał się zatroszczyć jeden człowiek. I nie były to krótkie utworki po pięć minut góra – były to wieloczęściowe (najczęściej po cztery, pięć) dzieła, każda z części trwała co najmniej 10 minut, a czasami dochodziło i do 40 minut! Mahler musiał więc samemu zadbać, żeby wszystko ze sobą współgrało.

A Lux Aeterna niechaj mu świeci

Istnieje kilku twórców, którzy stali się znani wyłącznie ze względu na jeden utwór. Jednym z nich jest Clint Mansell. Pewnie większości z Was w przypomniał się fragment ścieżki muzycznej z „Requiem for a Dream”. Tak, tak, „Lux Aeterna”, najbardziej znany utwór Clinta Mansella, co więcej, jeden z najczęściej

męczonych i najpopularniejszy z tych najnudniejszych w muzyce w ogóle. Ale, ale! Taka popularność przecież musi o czymś świadczyć. Czy zatem może on poprawił się przez te kilka lat, które minęło od 2000 roku?

W (niektórych) zachodnich serwisach Clinta Mansella uważa się za jednego z najbardziej uzdolnionych współczesnych kompozytorów. Sam Jack Wall także był zadowolony, gdy niedawno Clint Mansell zastąpił go na stołku kompozytora. Nie znam wszystkich ścieżek muzycznych Mansella (poza „Requiem dla Snu”, „Saharą”, „Źródłem” i „Czarnym łabędziem”), ale wg mnie Mansell jest średnim kompozytorem. Nie dość, że robi głównie smęty, to mi po prostu nie pasuje do ilustrowania jakiegokolwiek filmu innego niż romansidło. Mansellowi po pierwsze brakuje zmysłu melodycznego, a po drugie czegoś, co przyciągnęłoby do jego muzyki na dłużej. Może i da się tego wszystkiego słuchać, ale co z tego? Zaraz potem się zapomina jak to brzmiało, a sama muzyka nie zachęca do ponownego odsłuchania. (Lepiej zapamiętałem piosenki użyte w filmach). Zróżnicowane komponowanie wymaga dobrego operowania elektroniką i całą orkiestrą symfoniczną, a nie tylko jej sekcją smyczkową.

Na domiar złego, do tej pory Mansell trzyma się najczęściej tandemu smyczki + fortepian + gitara + zestaw perkusyjny. Wyjątkiem od tej reguły jest „Sahara” i „Black Swan”, gdzie pojawia się orkiestra symfoniczna, ale w tych dwóch filmach Mansell prawdopodobnie nie poradziłby sobie z nią bez porządnego orkiestratora. Zresztą w „Black Swan” sporo muzyki to pocięty i zmutowany Czajkowski (co mnie strasznie denerwuje i chętnie bym za to Mansella powiesił za dolne części ciała), a większość „oryginalnej” muzyki to typowe chwytły i instrumentarium Mansella. Tak więc jeden utwór wiosny, nawet nikłej, nie czyni. Co również pokazuje, jak ►

Zack Hemsey – „Mind Heist” (0:51) utwór z drugiego zwiastunu „Incepcji”	Steve Jablonsky – „It’s Our Fight” (0:56) muzyka z filmu „Transformers 3”
Cris Velasco – “Death from Above” (0:00) Utwór z dodatku do gry wideo (2010 r.)	K. Wierzyńkiewicz, A. Skorupa – „Witcher 2 Main Theme” (0:48) Główny motyw z polskiej gry wideo (2011 r.)
Inon Zur - “Fallout 3 Main Title” (0:10) Główny motyw z innej gry (2008 r.)	Kai Rosenkranz – „Risen Title Theme” (0:20) Główny motyw z innej gry (2009 r.)

► mierny gust ma większość społeczeństwa globalnej wioski.

Hieny cmentarne

Żeby już nie rozpisywać się zanadto, zwrócę uwagę na jeszcze jedno groźne zjawisko – częste plagiaty. Nie jest to może bardzo słyszalne w muzyce filmowej, ale w motywach z ilustracyjnych/promocyjnych utworów gier video już tak. Zresztą, sami policzcie, ile utworów z ciężkimi, basowymi uderzeniami słyszeliście od premier „Mrocznego Rycerza” i „Incepcji” (szczególnie

w zwiastunach).

Umieszczone na poprzedniej stronie zestawienie jest zbudowane na zasadzie utworów wcześniejszy – domniemany plagiat z oznaczonym czasem interesującego motywu. Wszystkie można bez problemu znaleźć na popularnych usługach internetowych do dzielenia się wideo.

Muzykę do filmów tworzy zatem najczęściej grupa, a nie pojedynczy kompozytor. Niektórzy uciekają się nawet do kopiowania niemal nuta w nutę tematów wymyślonych przez innych, zazwyczaj mniej znanych

twórców. Najsmutniejsze jest jednak to, że nagrody dostają głównie Ci, którzy wymyślają tematy, a nie cała ekipa od muzyki. Król się wozi, plebs pracuje. Gdyby wszystkie „gwiazdy” muzyki filmowej pisały całą swoją „twórczość” same, już dawno mielibyśmy odsianych prawdziwych kompozytorów od muzycznych kanciarzy.

Zachęcam do polemiki na łamach SK

Ars erotica

Erotyka – co to takiego? Jest to gałąź sztuki dotycząca miłości i zmysłowości. Na początku pragnę zaznaczyć, że celem tego artykułu nie jest nikogo obrazić, zniesmaczyć, ani zbulwersować. Wręcz przeciwnie: piszę go, aby wskazać powody, dla których taki zespół reakcji może w ogóle u Czytelnika wystąpić i uświadomić Mu, jakiej tabuizacji uległa przez ostatnie dwa tysiące lat sztuka erotyczna. Pojawia się pytanie: skąd pomysł na taki temat? Cóż, jakiś czas temu, wróciwszy do ławki po odpowiedzi przy tablicy zastałem w zeszycie... niespodziankę (jaka to była niespodzianka – pozostawiam przenikliwości Odbiorcy). Skłoniło mnie to do refleksji: czy rzeczywiście falliczne obrazy z waz greckich uległy przez wieki degeneracji do męskich genitaliów w szkolnych kasetach? Postanowiłem więc bliżej przyjrzeć się ewolucji europejskiej gałęzi ars erotica. Motyw nagości pojawiał się już w prehistorii – zazwyczaj związany był z symbolami płodności. O sztuce erotycznej mówimy jednak dopiero od starożytności: świat antyczny podkreślał piękno ludzkiego ciała, szczególnie męskiej, atletycznej sylwetki. Wtedy po raz pierwszy powstały sceny homoseksualne. Nagość przejawiała się na wazach, freskach, malowidłach, a nawet sprzętach domowych.

Można powiedzieć, że rozkwit ars erotica trwał do ok. III w. n. e., kiedy dominować zaczęła kultura chrześcijańska. Konsekwencją tego stała się tabuizacja treści seksualnych i antyfeminizm. Kobieta, dawniej wiązana z płodnością i cyklem życia stała się symbolem zła, lubieżności i grzechu. Dobrym odzwierciedleniem średniowiecznego podejścia do treści erotycznych były noszone stroje, zakrywające każdy kawałek ciała. W XIV w. za sprawą renesansu damy zaczęły jednak odsłaniać piersi, a wśród mężczyzn modnymi stały się spodnie z woreczkiem, eksponującym genitalia: wraz z powrotem do antycznej koncepcji piękna znów pojawia się nagość. Kres temu położyła kontrreformacja: sobór trydencki zakazał pokazywania gołego ciała w sztuce kościelnej. W Europie zapanał purytyzm. Dość ciekawym epizodem jest tzw. „wielka kastracja” – w roku 1557 papież Paweł IV wydał bullę, zgodnie z którą dużą część narzędzi płciowych watykańskich rzeźb... zakryto listkami figowymi. Przez następnych kilka wieków kontynuowano ten proces, a Pius IX posunął się nawet do niszczenia posągów i zamalowania fragmentów fresków Michała Anioła! Odwilż nastąpiła dopiero w XVIII w., ale i ona nie trwała długo, gdyż nurty antyseksualne powróciły w pierwszej połowie XIX w. Wtedy zdefiniowano

po raz pierwszy pojęcie pornografii (aby uniknąć nieporozumień: sztuka erotyczna nie jest pornografią), której posiadanie i tworzenie wkrótce stało się podstawą do pozbawienia wolności.

Prawdziwa rewolucja seksualna wydarzyła się jednak dopiero w latach sześćdziesiątych XX w. Dynamiczny rozwój środków masowego przekazu, wraz z podupadaniem autorytetu kościoła i ruchami społecznymi (np. hipisowskim) spowodowały ponowny rozkwit ars erotica – muzea udostępniły swoje zbiory, publikowano nowe dzieła. Dziś sztuka erotyczna nie jest już tabu. Pozostaje tylko pytanie: czy przypadkiem swoboda obyczajów i odrzucenie purytyzmu nie przekracza dziś granic przyzwoitości? Ze wszystkich stron jesteśmy zarzucani treściami seksualnymi, nagością, czasem wręcz pornografią. Moim zdaniem wszechobecna konsumpcyjność uczyniła z ars erotica narzędzie reklamy. Na szczęście nadal funkcjonuje ona w świecie kultury (polecam wystawę „Ars homo erotica” w Muzeum Narodowym). Na koniec smutna prawda: dawny symbol płodności, mający zapewnić potomstwo, stanowiący obiekt kultu, stał się tylko wulgarnym znakiem, wypisywanym na murach przez prymitywne pasożyty społeczne, aby obrazić inne prymitywne pasożyty społeczne. Co stało się z fallusem?!



Jakub Galecki

Tam gdzie linia góruje pośród form



MATEUSZ DZIURZYŃSKI

Gdyby spytać ludzi, czym jest manga, większość bez wahania odpowiedziałaby, że komiksem. Nie jest to znaczenie błędne, bynajmniej, jednak warto wiedzieć, skąd ten wyraz się wywodzi – umożliwia to lepsze zrozumienie jego formy. Manga (jap. 漫画) oznacza jednocześnie karykaturę, obraz, szkic, rysunek oraz komiks. Ładny rozstrzał, prawda? Jednak lepiej niektóre pojęcia pozostawiać niejednoznacznie sprecyzowane. Pozwala to efektywniej uchwycić, czym naprawdę są. W tym wypadku manga jest po trochu każdym z tych pięciu elementów.

Jak to się wszystko zaczęło?

Za ojca tego kierunku w sztuce uznaje się Hokusai'a Katsushikę, ilustratora ponad 500 książek (w tym części swoich własnych), tworzącego od początku XIX w. Pierwotnie słowem „manga” określano sposób ozdabiania rycin lub innych form użytkowych. Gdy w połowie XIX w. zaczęto sprowadzać do Japonii zachodnich artystów, by nauczyć się od nich technik rysunku, forma ta wyewoluowała w pojedyncze rysunki, powielane i rozdawane na ulicach. Czasem przyjmowały również formę broszur, rzadziej występowały w większej objętości. Manga w formie, jaką znamy ją teraz, ukształtowała się dopiero po II Wojnie Światowej. Najczęściej wydawana jest w czasopiśmie ukazujących się co tydzień. Jeden rozdział potrafi mieć od 20 do aż 40 stron! Początkowi *mangaka* (jap. autorzy mangi) nie mogą jednak liczyć na takie promowanie od początku, dlatego organizowanych jest wiele konkursów w całym kraju, pozwalających młodym artystom zadebiutować.

Cechy charakterystyczne

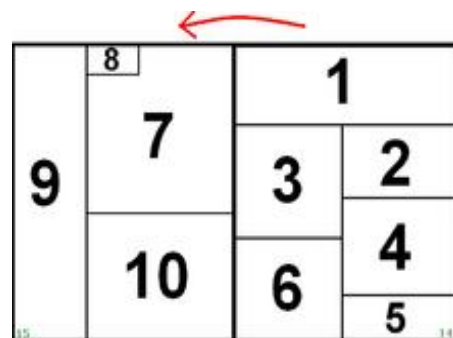
Czym właściwie różni się szeroko rozumiana manga od innych komiksów? Otóż rządzi się ona paroma zasadami, które czynią ją wyjątkową. Przede wszystkim w oczy rzucają się nieco inne niż zwykle proporcje ciała ludzkiego. Można by powiedzieć, że japońscy artyści zdecydowali się w tej kwestii na rozwiązania ekstremalne. Postacie mają nieznacznie dłuższy tułów kosztem nóg. Panie mają bardziej uwydatniony biust oraz szersze biodra i uda (potrafią być aż półtora razy szersze), za to mniejszy nos i usta. Panowie zaś mają węższe uda, ale za to znacznie szerszą klatkę piersiową. Obie płcie charakteryzują wyjątkowo duże oczy oraz względnie równy wzrost, popularnym stało się również kreowanie bohaterów z długimi włosami. Proporcje głowy względem reszty ciała wahają się od 1:9 (rzadko – Japończycy są zazwyczaj niżsi) do 1:3 – ma to odzwierciedlić wiek postaci. Powiększanie głowy leży w naturze *mangaka*, dlatego też proporcje 1:3 mają nawet czasami dzieci w wieku 8 lat.

Charakterystyczne dla mangi jest również to, że większość drukowana jest na czarno-biało – kolorowa zazwyczaj jest tylko okładka. Wydawana najczęściej w czasopiśmie, jako odcinkowa, czasem również jako jednotomowe opowiadania. Formę może przyjmować od uźnego szkicu, przez bajkową grafikę, aż po hiperrealistyczne obrazy. Uwagę zwracać może charakterystyczny sposób uchwycenia ruchu. Nie wolno również zapomnieć o całej gamie wyrazów dźwiękonaśladowczych, będących swego rodzaju ikoną mangi.

Manga jest również uniwersalna, jeśli chodzi o zakres podejmowanych tematów. Poza tym jest nie do prześcignięcia w kwestii rozmiarów niektórych postaci. Czytałem mangę, w której czarne

charaktery były wirusami, próbującymi uzyskać dostęp do organizmu głównego bohatera. Pod koniec im się to udaje i powodują u niego kichnięcie, które powoduje u nich poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Z drugiej strony w innej mandze interesujący jest motyw, w którym bohaterowie rzucają w siebie galaktykami (jak dyskami w filmie „Iron”).

A, i jeszcze jedna niespodzianka! Mangę czytamy trochę inaczej niż zwykle komiksy. W ogólnym zarysie czyta się ją od góry do dołu, lecz od prawej do lewej strony. Z racji tego, że obrazki często się na siebie nakładają i tworzą skomplikowane układy na stronie, zamieszczam schemat poprawnej kolejności czytania.



Rodzaje mangi

Coś tak obszernego jak manga musi oczywiście zostać jakoś zaklasyfikowane. Występuje na przykład podział ze względu na grupę wiekową:

- *kodomo-muke* (dla dzieci)
- *josei* lub *rekidomi* (dla kobiet)
- *shonen* (dla mężczyzn)
- *shoujo* (dla nastoletnich dziewczyn)
- *shounen* (dla nastoletnich chłopców)

Wykształcił się również podział ze względu na podejmowane tematy i rodzaj bohaterów. Wyróżniamy tu:

- alternatywę (obrazy dramatyczne)
- *shinigami* (personifikacja śmierci)
- *kijutsu* (wszystko, ma coś wspólnego z magią)

- ▶
- *kemono* (bohaterami zwierzęta)
- mech (bohaterami mechanoidy)
- *yukai* (świat pozagrobowy)
- *shinobi / ninja / samurai* (bohaterami ludzie, wojownicy)

oraz wiele, wiele innych. Większość mang zapożycza z wielu kategorii jednocześnie, co czyni je trudnymi do zaklasyfikowania. Oczywiście istnieje jeszcze wiele innych podziałów technicznych, związanych ze stylem rysowania, objętością, a nawet narzędziami używanymi podczas procesu tworzenia. Nie będę ich jednak tutaj wymieniał.

Przykładowe mangi z opisem

A na koniec parę pozycji, które pragnę Wam, drodzy Czytelnicy, polecić. Wszystkie są przeze mnie przeczytane – gwarantuję, że są bardzo interesujące. Mam nadzieję, że wciągniecie się w nie i będziecie czerpali z nich równie wielką przyjemność, jak ja. Z góry przepraszam wszystkie panie, bo za sprawą mojej płci czytam tylko mangę typu *shounen*. Jednak wcale nie znaczy to, że ma się ona Wam nie spodobać. Wszystkie dostępne są w wersji on-line na stronie: <http://www.mangareader.net>.

Naruto (Masashi Kishimoto, 1999)

Kraina, w której rozgrywa się akcja *Naruto* podzielona jest na pięć krajów: Kraj Ognia, Wody, Powietrza, Ziemi i Błyskawicy. W wioskach położonych w owych krajach żyją *shinobi* (jap. „wojownicy”), szkoleni od dzieciństwa w trzech dziedzinach: *taijutsu* (walki mieczem oraz wręcz), *ninjutsu* (używaniem technik odpowiadających jednemu z pięciu żywiołów, od których nazwy przejęły kraje) oraz *genjutsu* (sztuce iluzji i złudzeń). Kraje z założenia żyją w pokoju ze sobą, choć utrzymuje się między nimi atmosfera rywalizacji na każdej płaszczyźnie (nie zawsze zdrowej) i o konflikt między nimi nietrudno. Jednak poszczególnym grupom *shinobi* zdarza się często nadwyręzać tę i tak ciekawą granicę między pokojem a wojną.

Tytułowym bohaterem tej wyjątkowo popularnej mangi jest Naruto

Uzumaki – chłopiec z Wioski Ukrytego Liścia w Kraju Ognia, który nic nie wie o swojej przeszłości. Jest sierotą, wszyscy w jego wiosce go unikają, jedyną osobą, na którą może liczyć jest jego *sensei* (jap. ‘mistrz’) – Iruka Umino. Z czasem Naruto dowiaduje się, z jakiego powodu nie jest tolerowany. Tuż po narodzinach zapieczętowany



Naruto Uzumaki

został w nim jeden z dziewięciu potężnych demonów zamieszkujących świat *shinobi*. Tylko w ten sposób można było powstrzymać potęgę bestii. Wszyscy obawiają się, że pewnego dnia Naruto straci nad sobą kontrolę i demon odzyska wolność. Jednak chłopak może również wykorzystać jego siłę do dobrych celów. Od tego, co wybierze na ścieżce przeznaczenia, zależy przyszłość całego świata. Tymczasem niczego nieświadomy kontynuuje swoje szkolenie. Ma nadzieję zostać w przyszłości *hokage*, tj. władcą Kraju Ognia. Myśli, że to jedyny sposób na zostanie zaakceptowanym przez społeczeństwo. Jednak podczas swojej pozornie nierealnej misji Naruto napotyka wiele ludzi, którzy uświadamiają mu, że może zyskać akceptację będąc tym, kim jest.

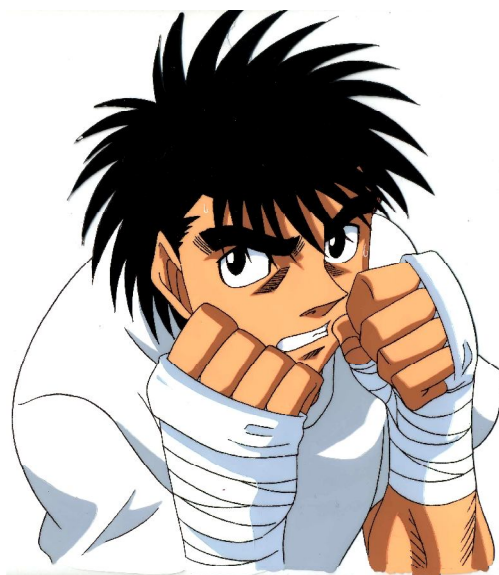
Hajime no Ippo (Jouji Morikawa, 1989)

Bardzo wciągająca manga o ładnej kresce, usytuowana w latach 90. XXw. W dodatku wyjątkowo realistyczna. Ciekawie może również fakt, że jest jedną z najdłuższych. Przez ponad 20 lat powstało prawie 1000

rozdziałów, po 20-25 stron każdy!

Makunouchi Ippo to 16-latek, który po śmierci ojca pomaga swojej matce w prowadzeniu rodzinnego interesu rybackiego. Brak mu przez to czasu na życie towarzyskie i nie ma żadnych przyjaciół. Jest nieustannie dręczony przez grupę uczniów ze swojej szkoły. Pewnego dnia, gdy Ippo jest bity, do akcji wkracza Mamoru Takamura, utalentowany bokser klasy średniej. Szybko przepędza bandę i zabiera Ippo na bokserską, by go opatrzyć. Po zabiegach, Takamura poleca mu, by uderzył worek, wyobrażając sobie, że tak naprawdę uderza swoich prześladowców. Tłumaczy, jak wejść odpowiednio nogą do ciosu, włożyć w niego biodra i go wyprowadzić. W momencie uderzenia okazuje się, że chłopak ma niesamowity potencjał – siłę i równowagę wyćwiczoną naturalnie podczas lat spędzonych na kutrze rybackim.

Ippo postanawia zostać profesjonalnym bokserem. Wraz z tą decyzją jego życie diametralnie się zmienia. Zyskuje bokserów ze swojego klubu jako przyjaciół. Należą do nich m. in. Kimura Tatsuya i Aoki Masaru, którzy jako *kouhai* (jap. starzy, bardziej doświadczony kolega) udzielają mu rad.



Makunouchi Ippo

Ippo zyskuje sobie również przychylność trenera Kamogawa, który w stylu walki chłopaka odnajduje swój własny styl z lat młodzieńczych. Ippo zyskuje dodatkowo rywala, o imieniu Miyata Ichiro. Posiadanie rywala uznawane jest za najlepsze, co bokserowi ▶

► może się przytrafić, ponieważ wywiera presję i stymuluje do dalszego rozwoju. Jednak przyjacielsko usposobiony do wszystkich Ippo nie jest w stanie powstrzymać sympatii do Ichiro, co czyni rywalizację sportową i wolną od wzajemnej nienawiści.

Księga Wiatru (Jirou Taniguchi, 1992)

Akcja rozpoczyna się w 1649r., gdy zmuszony do przejścia na emeryturę cesarz Joukou, niezadowolony z takiego obrotu wydarzeń postanawia uknuć spisek, mający na celu odzyskanie władzy. Zyskuje sobie za poplecznika Yashamaru – idealistę, ślepo oddanego byłemu władcy, posiadacza morderczej „techniki wstecznego wiatru”. Za namową Joukou włamuje się do świątyni rodowej Yagyuu, pokonuje strażników i niszczy znajdujący się

jest w tej mandze dokładność historyczna. Dzięki scenarzyście Kanowi Futakamie idealnie odwzorowane są wszystkie szczegóły. Za to autor sprytnie wykorzystuje każdą „białą plamę” w historii, dopowiadając swoją (nawet prawdopodobną) wersję i czyniąc w ten sposób opowieść realistyczną i wciągającą. Niesamowity jest również sposób wprowadzania postaci. Nie wiemy nic o tych, które się pojawiają i dopiero w miarę przebiegu akcji, dzięki zgrabnie wplecionym retrospekcjom, poznajemy ich historie. Realistycznie odwzorowane są również pełne dynamiki sceny bitewne. Jeżeli ktoś zostaje trafiony mieczem w serce – ginie, a nie ma trzech żyć, jak bywa w innych japońskich dziełach (np. „Dom latających sztyletów”).

Full Metal Alchemist (Hiromu Arakawa, 2001)

Akcja ma miejsce w równoległym do naszego świecie, w roku 1914. Podstawową różnicą między tym światem a naszym jest istnienie alchemii – nauki, służącej do tworzenia lub niszczenia materii, którą można operować za pomocą kręgów transmutacyjnych. Istnieje jednak podstawowe prawo, które w niej obowiązuje – aby coś otrzymać, trzeba oddać coś o równej wartości.

Edward i Alphonse Elric są młodymi, obiecującymi alchemikami, żyjącymi szczęśliwie z rodziną. Jednak pewnego dnia ich ojciec, Van Hohenheim, odchodzi niespodziewanie. Niedługo potem ich matka choruje poważnie i umiera. Bracia jednak nie załamują się i podejmują desperacką próbę wskrzeszenia matki, za pomocą alchemii. Zapominają jednak o Prawie Wymiany. Docierają do „Bramy” – mistycznego miejsca, do którego dostać można się tylko poświęcając coś bardzo ważnego dla siebie. Edward traci nogę, zaś Alphonse zostaje pozbawiony całego ciała. Zdesperowany Edward poświęca rękę, by zakląć duszę brata w leżącej nieopodal zbroi. Gdy zostali wyrzuceni przez „Bramę”, Alphonse zanoszą ciężko rannego brata do Winry Rockbell, ich przyjaciółki, zajmującej się produkcją



Edward Elric

zbroi. Jest ona w stanie wykuć dla Edwarda automobilne ramię oraz nogę. Od tego właśnie czasu Edward zyskuje tytułowy przydomek „Stalowy Alchemik”.

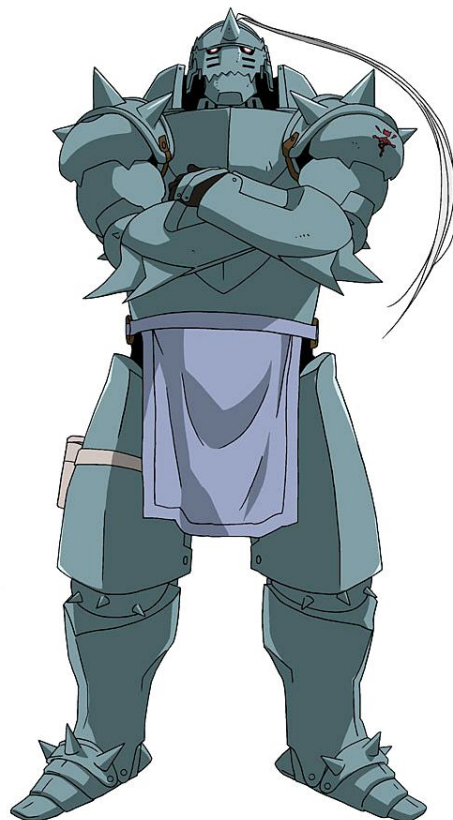
Wokół krążą legendy o Kamieniu Filozoficznym, owianym tajemnicą przedmiocie pozwalającym ominąć Prawo Wymiany – pozwalającym otrzymać coś, nie dając nic w zamian. Bracia Elric, prowadzeni chęcią odzyskania własnych ciał i wrócenia życia matce, wyruszają na poszukiwanie Kamienia.



Yashamaru niszczy posąg Buddy

tam posążek Buddy po to, by wydobyć z niego „Tajne Zapiski Yagyuu”. Zwój ten ma jakoby pomóc ekscesarzowi w wielkim przewrocie politycznym, który ma skutkować obaleniem shogunatu. Jednak jeden z samurajów z rodu Yagyuu – niezwykle uzdolniony mistrz miecza Juubee – samotnie rusza za Yashamaru, by odzyskać owe zapiski i zniweczyć plany Joukou.

Niesamowicie fascynująca



Alphonse Elric

Wierszem pisane...

RZECZ O BABIE

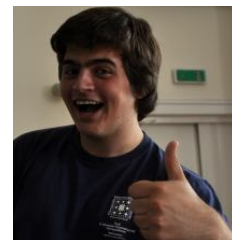
Może słuch go myli
Pewnego razu Zrozumiał po chwili,
Dziad przemówił do obrazu, Że obraz się z niego nabija.
A obraz do niego Chwycił w ręce kija,
Ani razu. Roztrzaską, usmaży
Bo go zlekceważył.

Bo tak się składa,
Że obraz nie gada. Dziad to dziad,
Ale siłę ma,
Dziad o tym nie wiedział. Codziennie przecież
Jeden dzień przesiedział Rąbie drwa.
I drugi dzień cały, Za chwilę zabije.
Z orbit wyszły mu gały. Zamachnął się kijem....

Lecz za wygraną nie dawał, Wtem,
Trzeci dzień od obrazu nie wstawał. Dźwięki słyszy nowe:
Szuranie, skrzypienie,
Aż czwartego dnia z rana, Odjęło mu mowę,
Rzecz się stała niesłychana. Tak wielkie zdziwienie...
Po chacie rozniosło się echem,
Bo obraz parsknął śmiechem. Cała niczym truposz blada,
Zza obrazu wyszła baba.

Patryk Czajka

Coś nadleciało...



JAKUB MROZEK

Szkoła kojarzy się nam wszystkim głównie z nauką. I słusznie – po to przecież istnieje. Codziennie rano niehumanym wysiłkiem wstajemy, aby się do niej udać. Codziennie bierzemy udział w kilku lekcjach, później niektórzy z nas mają zajęcia dodatkowe, niektórzy spotykają się ze znajomymi. Nietrudno doprowadzić więc do sytuacji, w której każdy dzień (z dokładnością do planu lekcji), każdy tydzień szkoły wygląda tak samo. Nie jest to różowa perspektywa, „zwykle, szare dni” przywołują jednoznacznie negatywne skojarzenia. Nie ma więc co się dziwić, że warszawskie licea robią co mogą, aby dodatkowo urozmaicić żywot swoich uczniów – zarówno tych, którzy doskonale robią to sami, jak i pozostających.

W wielu stołecznych szkołach ponadgimnazjalnych odbywają się więc przeróżne festiwale, muzyczne, teatralne czy filmowe. Wiele z nich ma charakter otwarty, to znaczy może na nie wejść absolutnie każdy, czasem tylko uczniowie liceów. Młodzi ludzie mogą na nich pokazać to, w czym są najlepsi, podzielić się z publicznością swoimi pasjami, marzeniami oraz emocjami. Niektóre nastawiają się na jeden rodzaj sztuki, inne dają artystom wolną rękę. Trudno się dziwić, że takie wydarzenia cieszą się niesłabnącą popularnością. Z bardziej znanych można wymienić Festiwal SOFA w Witkacym, TFAŻ w Żmichowskiej, Festiwal Filmowy w Kochanowskim czy jeszcze do niedawna nasz Festiwal KAFLA. Jednakże to nie o nich będzie ten artykuł.

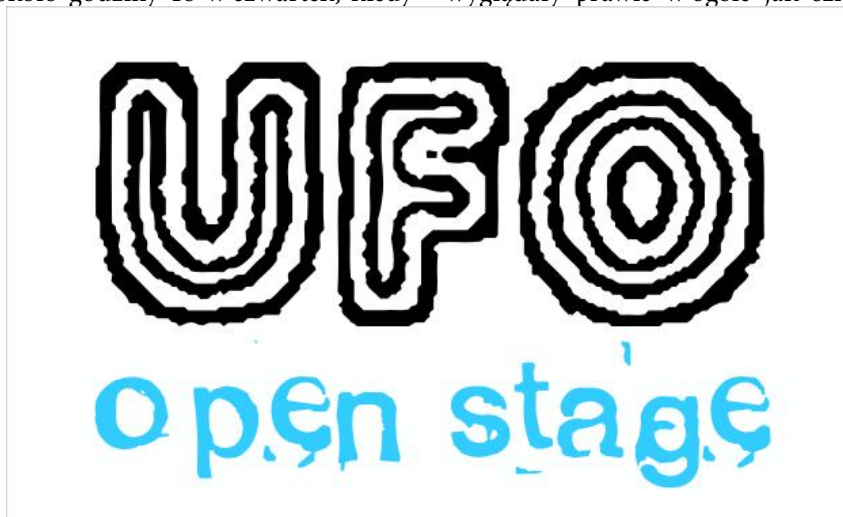
Sześć lat temu, dokładnie 24 lutego 2006 roku w II Liceum im. Stefana Batorego miała miejsce pierwsza edycja Unikatowego Festiwalu Offowego. Pomysłodawcy chcieli, aby występujący na nim artyści byli jak najbardziej zróżnicowani, aby dla każdego znalazło się coś, co go zachwyci. Krótko mówiąc, stawiali na różnorodność. Udało im się tego dokonać i aż do 2011 roku UFO było tym, czym miało być – syntezą

wielu różnych imprez, wielkim wydarzeniem kulturalnym, a sława festiwalu wykraczała daleko poza Warszawę. W jego ramach można było obejrzeć przedstawienia, występy taneczne, wziąć udział w koncertach rockowych i posmakować innych, mniej typowych gałęzi sztuki.

Muszę przyznać, że bardzo mnie to zachęciło do odwiedzenia Batorego, tym bardziej że wstęp na festiwal jest wolny. Postanowiłem więc wybrać się na tegoroczne UFO, które odbywało się 9 oraz 10 lutego. Razem z grupką znajomych znaleźliśmy się przed wrotami prowadzącymi do wnętrza budynku przy ulicy Myśliwieckiej 6 około godziny 18 w czwartek, kiedy

nym podejściu do sprawy. Wprawdzie zwykle, tj. na wszelkiego rodzaju koncertach, na przykład w klubie Stodoła, takie działania podejmowane są zanim odwiedzający zostawią swoje rzeczy w szatni, ale tu było to jak najbardziej usprawiedliwione ze względu na umiejscowienie szatni w budynku II LO. Gdyby chciano tak zrobić, kontrola musiałaby mieć miejsce na zewnątrz, a tego dnia było naprawdę bardzo zimno.

Pokierowano nas na piętro, więc weszliśmy po schodach, aby ujrzeć wielki baner – „UFO open stage” i mnóstwo innych dekoracji, które sprawiły, że korytarze Batorego nie wyglądały prawie w ogóle jak szkoła.



od godziny trwał już pierwszy dzień festiwalu. Od razu za tymi drzwiami znajdowała się szatnia, to znaczy ławki szkolne ustawione w poprzek wejścia do tej właściwej, w której codziennie uczniowie II LO zostawiają swoje rzeczy. Dwie miłe dziewczyny zabrały nasze okrycia wierzchnie i po chwili oddały nam numerki. Była to pierwsza oznaka profesjonalizmu organizatorów UFO. Już wkrótce czekała nas druga: zostaliśmy delikatnie przeszukani przez ochroniarzy, którzy z pewnością nie byli uczniami Batorego, jak również została sprawdzona nasza tożsamość. Nie było to niezbyt miłe, ale ponownie przekonałem się o poważ-

W powietrzu czuć było niepowtarzalny klimat, od razu poczułem, że znajduję się w miejscu niezwykłym. Występy odbywały się w dwóch miejscach – na Dużej i Małej Scenie. Pierwsza z wymienionych znajdowała się na ogromnej auli, a druga – w sali lekcyjnej, w której ustawiono krzesła i fotele, a z tkaniny zrobiono podwieszony trochę niżej sufit. Oprócz tego na UFO były dwie kawiarenki, w których można było zakupić napoje, chipsy i batony. W tej, która znajdowała się w pomieszczeniu tuż obok Małej Sceny, panowała atmosfera sprawiająca, że zdawała się prawdziwą kawiarnią czy restauracją.

Na festiwal przyszło ▶

1	5		8					3
		7		9		1	5	
		9		1		2		
			6				3	
7		3		8		9		5
	1				9			
		1		2		3		
	9	8		3		5		
2					1		8	7

► naprawdę mnóstwo ludzi. Wmieszaliśmy się więc w tłum kierujący się na Dużą Scenę. Spędziliśmy tam około godziny, obserwując kolejne występy. Na podwyższeniu pojawiały się kolejne zespoły grające muzykę, którą można chyba zbiorowo określić mianem rockowej. Przyznaję, że nie czytałem programu imprezy wcześniej, aby nie psuć sobie niespodzianki, ponieważ wiedziałem, że i tak nie znam żadnego z wykonawców. Udałem się więc na Małą Scenę, chcąc zobaczyć coś, co nie jest występem muzycznym. Nie udało mi się. Zdobyłem więc kartkę z rozpiską wykonawców na oba dni, a z niej dowiedziałem się, że nie usłyszę ani przedstawień, ani pokazów tańca. Muzyka zdominowała całkowicie UFO 2012. Jedynym, który nie grał ani nie śpiewał, był ponoć chłopak wykonujący triki z piłką, ale mi akurat nie udało się go zobaczyć. Unikatowy Festiwal stał się Festiwalem Muzycznym.

Pierwszego dnia imprezy przyszło dużo mniej ludzi niż następnego, co nie powinno nikogo dziwić. Czwartek to w końcu czwartek – za parę godzin większości widowni zaczynały się lekcje. Pogo, które co i rusz rozkręcało się pod Dużą Sceną, było więc dość marne. Moją uwagę zwrócił zespół Days of Disbelief, grający metalcore. Głównie z powodu genialnej wersji kawałka „Rolling in the Deep” Adele, którą zagrali na sam koniec. Nikt nie zaśpiewa tego tak jak w oryginale, ale wokalista nie próbował – użył grow-

lu i wyszło świetnie. Oczywiście wystąpili na auli, gdzie było dość miejsca na pięciu mężczyzn z gitarami i perkusją. Ostatnią gwiazdą czwartkowej Dużej Sceny była grupa Le Nive, której nazwy długo nie umiałem zapamiętać („Coś z jedzeniem... Mielone?”). Grali... rock, choć z punkowymi motywami i byli całkiem niezli.

Tego samego dnia byłem na Małej Scenie i siedziałem oczekując na kolejny występ. Wykonawca

się spóźniał, więc uczniowie Batorego zagrali kilka klasycznych utworów na pianinie. Gdy wreszcie dotarł, wyszedł na scenę i oznajmił, że zagra swoje dwie autorskie kompozycje, których jeszcze nigdy nikomu nie prezentował i to będzie pierwszy raz. Rzekł to w taki sposób, że poczułem się co najmniej dziwnie. Wiedziałem, że jeszcze chwilę sobie w tym miejscu posiedzę, bo młody pianista wyglądał i zachowywał się, jakby był gotów w jednej chwili zejść na zawał serca, gdyby ktokolwiek opuścił salę w trakcie jego występu. Pomyślałem więc, że przeboleję. Jego występ okazał się genialny. Dwa przepiękne, rozbudowane utwory oddziaływały bezpośrednio na duszę, wrzynały się w umysł i niezwykle pobudzały wyobraźnię. Artystyczna uczta.

Jak Czytelnik z pewnością sam zauważył, pewna różnorodność na UFO została – wszak zespół grający metalcore to zupełnie co innego niż chłopak delikatnie wprowadzający słuchaczy w refleksyjny nastrój za pomocą pianina. Była to stała zasada – występy na Małej Scenie były zdecydowanie w innym, spokojniejszym klimacie.

W piątek festiwal wyglądał trochę inaczej. Po pierwsze była zdecydowanie wyższa frekwencja. Już to czyniło ten dzień ciekawszym – ogólne wrażenie zapełnienia sprawiało, że lepiej postrzegałem zarówno występy na obu scenach, jak i UFO jako takie. Korytarze Batorego były zapełnione do tego stopnia, że każdy kto chciał

wejść na teren festiwalu po godzinie 19:30 musiał liczyć się z tym, że będzie zmuszony do stania w długiej kolejce, bowiem ochroniarze przed drzwiami nie wpuszczali kolejnych gości, twierdząc, że wewnątrz znajduje się ponad 2000 osób. Co mogło być prawdą.

To, czego brakowało w czwartek, pojawiło się dzień później. Przed Dużą Sceną pogo tańczono niemal przy każdej piosence. Tłok, głośnie muzyka, nieskoordynowane ruchy, zapach potu innych ludzi – te rzeczy większości z nas jednoznacznie kojarzą się z dobrą zabawą. Szczególnie, jeśli dokoła znajduje się wiele pięknych kobiet – a tych na UFO nie brakowało. Pogując, w pewnym momencie zgubiliśmy Mateusza Dziurzyńskiego. Po trzech minutach szukania go okazało się, że leżał na ziemi deptany przez skaczący, podniecony tłum. To był moment, w którym opuściliśmy Dużą Scenę, aby już nigdy na nią nie wrócić.

Na Małej nie spędziliśmy dużo czasu, szczególnie zmartwiło mnie to, że przegapiłem występ ucznia naszej szkoły, Karola Frankowskiego, który wystąpił tam razem z akordeonowym trio Epic Lyrical. Podobno był cudowny. Niewątpliwie na mój odbiór festiwalu miało ogromny wpływ to, że wybrałem się na niego ze świetnymi ludźmi, z którymi właściwie każda zabawa staje się bardzo dobra. Organizatorzy festiwalu postarali się o wiele klimatycznych miejsc, w których można było usiąść i porozmawiać, z czego chętnie korzystaliśmy. Festiwal okazał się również idealną okazją, by poznać nowych ludzi. Jeżeli więc brać pod uwagę cały dzień, to piątek zdecydowanie podobał mi się bardziej niż czwartek, natomiast żaden zespół wtedy występujący nie zwałił mnie z nóg. Może po prostu za dobrze się bawiłem.

Choć UFO trochę zbczyło z międzygalaktycznego kursu, wciąż jest wydarzeniem wartym uwagi każdego miłośnika sztuki lub po prostu osób, które chcą sobie potańczyć pogo za darmo. Zdecydowanie polecam każdemu, kto chciałby wyrwać się ze szkolnej codzienności i posmakować kilku odmiennych gałęzi kultury na raz. Miejmy nadzieję, że przyszłoroczny festiwal powróci do dawnych tradycji, nie tracąc nic ze swej niesamowitości.

Krećte rozumu historie, cz. I

Limbicum i mesencephalon więcej mówią do mnie, niż mędrca chiasma i cortex.



IGOR KOTRAŃSKI

Mózg – ladaco. Chcesz zasnąć? Nie ma mowy. Chcesz się uczyć? Patrz, jak ciekawie wygląda farba na ścianie. Chcesz zabłysnąć w dyskusji? Ojej, zapomniałem, jak się mówi. Chcesz rozwiązać zadanko? Podsunę ci tylko jedną koncepcję, którą drążyć będziesz dwie godziny, podczas gdy rozwiązanie jest kwestią małej zmiany podejścia. Chcesz podać możliwie wiele kreatywnych przykładów? Ach, przykro mi, wena najdzie cię, gdy będziesz musiał skupić się nad równaniem. Kto nie jest jeszcze przekonany co do bezinteresownej złośliwości tego nieszczęsnego organu, niech wie, że w tej chwili oddycha świadomie, mruga świadomie, nie istnieje komfortowa pozycja dla języka w jamie ustnej, głowa jest nieznośnie ciężka, cały czas czuje się opuszki palców, a ziewanie jest zaraźliwe.

Mogłoby się wydawać, że coś tu nie gra. W końcu wszystkie organy wykazują zaskakującą efektywność i przystosowanie do środowiska, dlaczego więc ten jeden nieszczęśnik sprawia nam takie problemy? I nie mowa tu o chorobach, gdyż mózg ma swoją własną paletę – ale właśnie o sytuacjach z życia codziennego. Ledwo jakieś odstępstwo od rutyny, a już wszystko się sypie – co to za partactwo? Kto jest za to odpowiedzialny?

Cóż, niestety, nasza kochana ewolucja. Istnieje w biologii ewolucyjnej coś takiego, jak zasada integralności – im bardziej dany narząd jest wyspecjalizowany i im więcej ma funkcji istotnych także dla innych narządów, tym trudniej i wolniej się zmienia. Gdyż po prostu łatwiej jest coś zepsuć, niż poprawić. Mózg, jako narząd nadzorujący cały organizm, niezbyt chętnie się rozwija – choć z drugiej strony zyski są spore. Jak zatem zdołały rozwinąć się części mózgu odpowiedzialne za wyższe funkcje?

Wszystko zaczyna się od mózgu ryb. Zadania: odbierać bodźce zewnętrzne i wewnętrzne oraz wywoływać odpowiednie na nie reak-

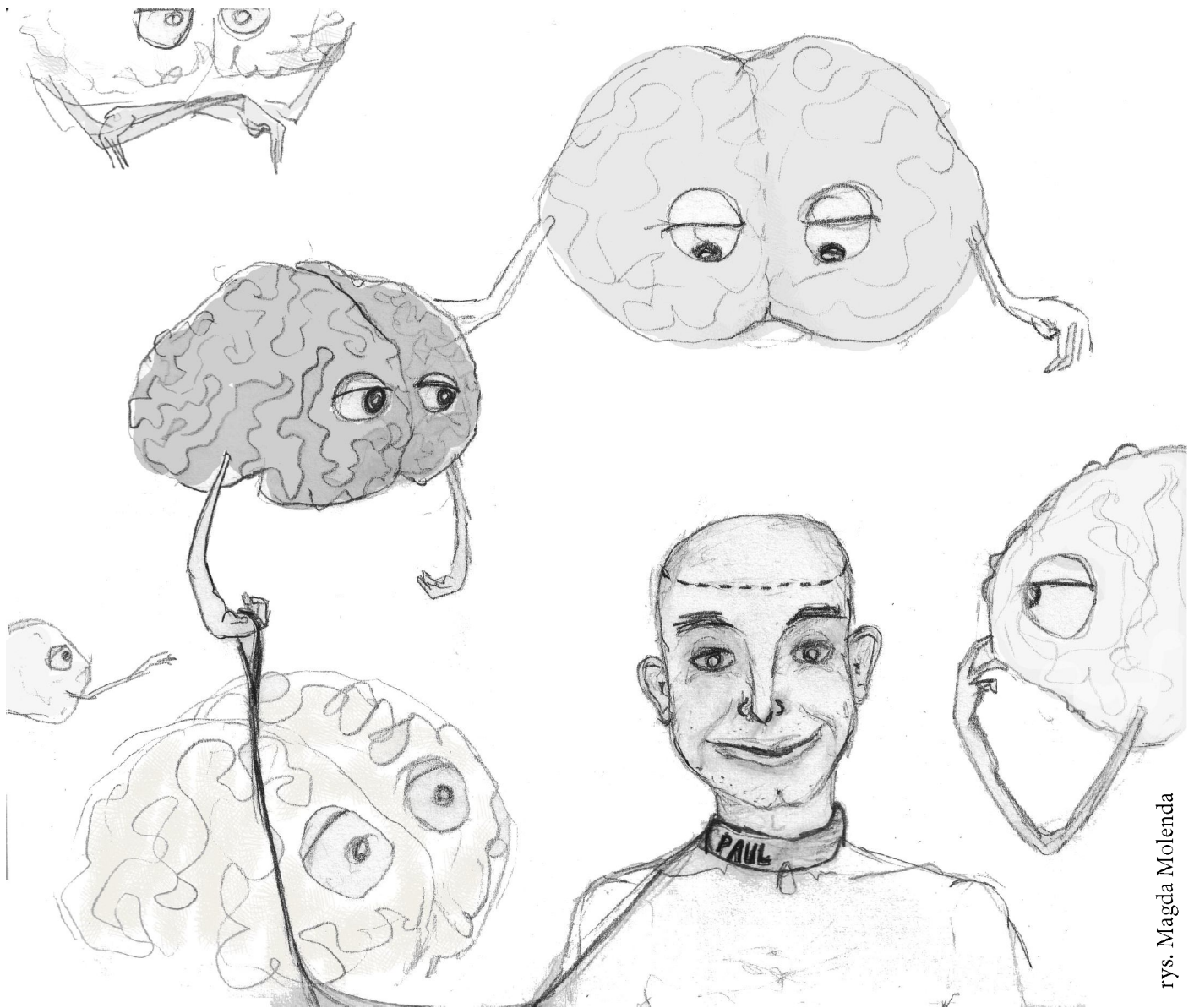
cje. Rybie mózgi mają szczególną cechę, jaką jest szczególne wyspecjalizowanie – u gatunków korzystających głównie z węchu (np. niektóre gatunki rekinów) wyraźnie dominuje przodomózgowie, u nastawionych na wzrok (np. pstrąg czy hemingwayowski marlin) – śródmózgowie, a te skupione na trawieniu (jak nasz swojski karp) rozwijają niektóre części rdzenia kręgowego. Nie ma u ryb czegoś takiego jak dedykowany układ analizy informacji – bodźce wzrokowe analizuje się oddzielnie, węchowe oddzielnie, wewnętrzne oddzielnie, zaś za złączenie wszystkich wniosków i obranie odpowiedniego modelu zachowania odpowiada ten układ, który u danego gatunku jest najlepiej rozwinięty. W tym milionoleciu może to być ośrodek węchu, w następnym – wzroku. Połączenia między poszczególnymi ośrodkami są słabe, bo i po co rybom coś więcej? Nie ma presji, nie ma rozwoju, proste otoczenie, proste metody. A o tym, że ta metoda jest efektywna, świadczy fakt, że takie rozwiązania pojawiały się niezależnie na wielu etapach ewolucji.

Zabawa zaczyna się przy pierwszych płazach. Na lądzie środowisko jest o wiele bardziej wymagające niż w wodzie, zatem trzeba się przystosowywać – kończyny, skóra, układ oddechowy, także w mózgu zachodzą spore, aczkolwiek stopniowe zmiany (w końcu na ląd wychodziliśmy powoli, małymi kroczkami). Bardzo sprzyja temu zmiana na stanowisku najważniejszego zmysłu. O ile większość ryb stawia na wzrok, u płazów istotniejszy staje się węch – patrz nowe narządy węchowe, jak narząd Jacobsena. Ośrodek tego pierwszego znajduje się w śródmózgowiu, tego drugiego zaś w przodomózgowiu. W efekcie płazy uzyskały nadwyżkę mało używanych, a dobrze wykształconych neuronów śródmózgowia, które zyskały inną funkcję. Otrzymałyśmy strukturę skutecznie analizującą dane z różnych źródeł i reagującą zarówno poprzez dyktowanie instynktem zachowania, jak i przez

kontrolę hormonów. Ale to nie wszystko – w przodomózgowiu wykształcił się równoległy ośrodek odpowiadający za zachowania seksualne i rywalizujący ze wspomnianą wcześniej strukturą. Dość logiczne, biorąc pod uwagę bliskość struktur analizujących wrażenia węchowe. Tenże bardzo intensywnie się rozwijał u owodniowców, co było związane m.in. z rozwojem bardziej skomplikowanych form zachowań, jak zachowania stadne czy polowania. Oraz oczywiście gody. Światłość umysłu popłacała wtedy, światłość umysłu popłaca do dziś. Patrz Filozoraptor.

Właśnie, gady. Gady mają już dwa wykształcone ośrodki nerwowe – w śródmózgowiu i w tyłomózgowiu. Przejście na ląd na stałe uwieńczyło proces kształtowania się układów w śródmózgowiu, a nawet więcej, gdyż u gadów pojawiają się pierwsze ślady myślenia opartego na skojarzeniach. Nie to jednak jest ich główną zasługą. Gadam gratulujemy kory mózgowej, istotnej struktury przodomózgowia. Jak pamiętamy, przodomózgowie odpowiada u płazów za zachowania seksualne. Kora mózgowa powstała jako system wspierający, odbierający wrażenia zmysłowe i kontrolujący ruchy ciała. Widać konkurencja była na tyle duża, że gadom przyszło podporządkować wszystkie układy zagadnieniom ściśle związanym z tematem reprodukcji. Dodajmy jeszcze, że oba ośrodki nie rywalizowały ze sobą, lecz aktywowały się wtedy, gdy była potrzeba – w czasie godów prym wiodło przodomózgowie, pomiędzy nimi śródmózgowie przejmowało ster.

Odbijmy na chwilę od naszych przodków i przyjrzyjmy się naszym ptasim kuzynom. Ptaki miały akurat spore szczęście – wywodzą się one z bardzo wyspecjalizowanej grupy gadów i najpewniej wymarłyby rychło po wyodrębnieniu się razem ze swoim rozwiniętym przodomózgowiem, ale uratowało je pozbycie się większości ośrodków węchu. Zmiana diety pozwoliła im na zrezygnowanie z czulego ▶



rys. Magda Molenda

► węchu – a to, co pozostało po nim w mózgowiu, poszło do recyklingu jako układy poznawcze. Jak wcześniej u płazów. Utratę węchu ptaki zrekompensowały sobie poprawionym ośrodkiem wzroku w śródmózgowiu. Ale dawny układ kontroli nadal działa. Odtąd funkcje analizy bodźców wzrokowych u ptaków, a także zachowania instynktowne oraz utrzymywanie równowagi hormonalnej stało się dziedziną właśnie śródmózgowia, zaś za wyższe funkcje – pamięć, uczenie się, świadome działanie – zaczęło odpowiadać przedmózgowie. Trzeba dodać, że ptaki miały **naprawdę** wiele szczęścia – analiza struktury ich mózgowi pozwoliła wysnuć hipotezy, że ich przodkowie mieli świetnie rozwinięty węch (przypomina się historia ryb?), ale wykorzystywany tylko do polowania – z reprodukcją powiązany był ośrodek wzroku, o tyle dziwne, że to przecież przedmózgowie miało odpowiadać za prokreację. Innymi słowy – ptaki

to niezły ewolucyjny gagatek.

U ssaków jest pod tym względem dość ciekawie. Tak jak u ptaków, przedmózgowie rozwijało się u nich szczególnie intensywnie, także kosztem m.in. niektórych ośrodków analizujących pod kątem reprodukcyjnym bodźce węchowe. Dlaczego jednak tak się stało, skoro ewolucja ssaków nie obfitowała w dziwne zbiegi okoliczności, jak historia ptaków? Być może rytuały godowe wymusiły wzrost skomplikowania tej części mózgu, może mniej używane ośrodki węchu znalazły sobie nową rolę, a może wymusił to na nich niełatwy tryb życia pod gadzim zaborem. Faktem jest, że rolę koordynacji zachowań seksualnych przejął ośrodek u gadów całkowicie drugorzędny, zaś cała reszta została przekwalifikowana. Z czasem kora mózgowa tak się komplikuje, że ma czelność powielić układy ze śródmózgowia – analizujące bodźce zmysłowe, motoryczne i inne. W teorii daje to jej pełnię władzy nad swia-

domym zachowaniem – w praktyce dawne struktury śródmózgowia nadal pracują, odpowiadając tak za zachowania instynktowne, jak i za reakcje stresowe. Co wyjaśnia nam pierwszą zagadkę – nie jesteśmy w stanie się skupić w sytuacjach stresowych, gdyż kontrolę obejmuje wówczas układ zupełnie do kreatywnego myślenia nieprzystosowany.

Przedmózgowie przejmuje władzę, przynajmniej na papierze. Najpierw zbudowane przy ośrodku węchowym jako wsparcie podczas godów, potem rozbudowane jako równorzędny dowódca obejmujący pełnię władzy w czasie reprodukcji, na koniec wykonujące milioletni coup d'état. Przyszła inteligencja zapowiada się ciekawie. Ale do homo i jego problemów dojdziemy innym razem.

(Na podstawie: S. V. Savel'ev, *Integrity Principle of the Evolution of Associative Centers in the Vertebrate Brain*)

Bal na sto par, a wśród nich...

DIONIZY MARCHEWKA

Tydzień temu odbył się w naszej szkole Bal Staszicowy. Z pewnością wszyscy pamiętacie tę niezapomnianą, świetną zabawę, a ci, którzy się na nim nie pojawili, do tej pory żałują. Jedną z atrakcji na balu był wybór Króla i Królowej. Tytuły te zdobyli Axel Małyśiak i Magdalena Kawka zwana Leną (dla przyjaciół). Obiecany wywiad z nimi przeprowadził Dionizy Marchewka.

SK: To Wy jesteście parą Balu Staszicowego. Byliście zdziwieni, że to Was wybrano?

A: Na początku nic nie podejrzewałem, chociaż w pewnym momencie zostaliśmy poproszeni o niewychodzenie z sali. Sądziłem, że chodzi o coś zupełnie innego.

L: Axel zażartował, że może zostaliśmy parą balu, ale wyśmiałam ten pomysł. Jeszcze dzień wcześniej poruszałam się o kuli z powodu skręcenia stopy i nie byłam pewna, czy w ogóle będę mogła przyjść. W dodatku moja sukienka nie chciała ze mną współpracować – pani profesor Macias musiała mnie ratować igłą i nitką.

A: Poza tym na wejściu usłyszałem, że wyglądam jak własny pradziadek. To, że nas wybrano było dla nas ogromnym zaskoczeniem.

Jak Wam się podobał sam bal – organizacja, muzyka, dodatkowe atrakcje?

L: Byłam zaskoczona, że tak wiele osób było w strojach z epoki. Szczególnie podziwiam dziewczyny w sukniach na stelażu, nie mam pojęcia jakim cudem w ogóle chodziły, nie mówiąc o tańcu! A gdy już o tym mowa, to bardzo podobał mi się walc przygotowany przez uczniów.

A: Całkiem ładnie udało nam się też zatańczyć poloneza, biorąc pod uwagę małe problemy techniczne i początkowe zamieszanie. Gratuluję Andrzejowi i Oli wygrania konkursu tanecznego, byli naprawdę świetni.

Czy lubicie imprezy w przebraniach? Jakies bale maskowe? Taki oldschool?

L: Uwielbiam! Najpierw zawsze marudzę, że nie mam pomysłu na przebranie, ale lubię wcielać się w jakąś rolę. Ostatnio zaskoczyłam znajomych przychodząc w stroju punka – skóra, poszarpane džinsy... zupełnie inaczej niż na co dzień.

A: No cóż... Ja to jednak jestem

typowym matexem i ostatnio na bal przebierałem się w przedszkolu. Miałem wtedy strój muszkietera, więc trochę pokrewne. Ale chyba polubiłem tego typu imprezy.

Byliście parą nie tylko na balu – jesteście nią w życiu prywatnym. Jak się poznaliście?

A: Jesteśmy jedną z tych słynnych pozwardoniowych par. Pani profesor Wanago jest całkiem niezłą swatką.

L: Poznaliśmy się w Zwardoniu dwa lata temu, ale właściwie zaczęliśmy się spotykać dopiero po roku. Jakoś

się tak dobrze dogadywać.

Axel, w zeszłorocznych wyborach na prezydenta podobno zdobyłeś więcej głosów niż którykolwiek z oficjalnych kandydatów, mimo że nie kandydowałeś. Wiesz coś o tym, czy to prawda? Jak sądzisz, co miało wpływ na tak spektakularny sukces?

A: Nikt nigdy nie przeliczył głosów na mnie, były po prostu nieważne. Było ich bardzo dużo, jednak sądzę, że Asia zdobyła ich więcej. W akcji „Axelminator” nie brałem czynnego udziału. Jej efekt był dla mnie dużym zaskoczeniem.

Po aferze, którą Czytelnicy z pewnością pamiętają – lub nie, jeśli są w pierwszej klasie – objąłeś jednak urząd p.o. prezydenta. Jak Ci się rządziło? Lena, wspierałaś go?

L: Nie miałam okazji wspierać Axela w zamieszaniu z urzędem – zaczęliśmy się spotykać miesiąc później.

A: Samorząd, który zastałem sprawnie funkcjonował, nie chciałem zmieniać trybu ich pracy, skupiłem się więc na wykonywaniu obowiązków marszałka senatu.

Lena, chodzisz do Hoffmanowej, prawda? Jak Ci się tam podoba?

L: Przede wszystkim jest blisko do Staszica, zdarza nam się widywać na okienkach. A tak na serio: jest to bardzo wymagająca szkoła, dość dużo czasu poświęcam na naukę, zwłaszcza, że daleko

mieszkam i dojazdy też sporo zajmują. Jednak jestem zadowolona ze swojego wyboru, poznałam tu fantastycznych ludzi. No i daje mi to szansę dostania się na wymarzone studia.

Axel, Lena przyszła z Tobą na bal. Odwiedzasz czasem IX LO, jeśli są tam jakieś wydarzenia kulturalne?

L: < śmiech >.

A: Nie bardzo miałem okazję... Szkoła Leny kładzie duży nacisk na naukę, przez co rzadko odbywają się ▶



nie było nam po drodze. A później sprawdziło się motto Sofizmu: „Matma mnie kręci”. Zostałam wyrwana na twierdzenie cosinusów!

A: Oj tam, oj tam...

Hah, czyli to pani Wanago jest za to odpowiedzialna! Powinna być z siebie dumna <śmiech>. Dobrze Wam razem?

A: Baaaaardzo... <maślane oczy Axela>

L: <śmiech> Nie sądziłam, że szalona chemiczka i ostrożny matematyk mogą

► tam imprezy kulturalne. Często odwiedzam liceum Magdy mimo próby izolacji uczniów od osób z zewnątrz. Bawią się w okazywanie identyfikatorów, co nie sprawdza się w praktyce.

L: Ale dzielnie pomagał nam

przy przygotowywaniu dekoracji studniówkowej!

Widzimy się w Zwardoniu w tym roku?

A: Bardzo byśmy chcieli, ale niestety w tym roku się nie wybierzymy.

L: Obowiązki dorosłości wzywają.

Tegoroczne wakacje spędzę pracując.

A: Za to, jeśli się uda, wybierzemy się razem na rejs organizowany przez profesora Łochowskiego.

Do zobaczenia, dziękuję za rozmowę.

Marcowa rozpiska kulturalna



MARTYNA STYŚŁO

Afiszujemy i anonsujemy. Ledwo dogorywająca rozpiska powraca. Marzec jest cieplejszy i w zasadzie nie ma wymówek, żeby siedzieć w domu. Mam tu zamiar przytoczyć moc kwestii, ale od przybytku kulturalnego głowy nie bolą. (Wstęp za mną, wstępów pisać nie umiem... to znaczy, nie umiem najbardziej).

Zaczynamy od wystaw, takich z przytupem. Kończy nam się ekshibicja Tomasza Gudzwatego; do 2 marca w starej galerii ZPAF możemy oglądać przegląd twórczości laureata World Press Photo i obecnej edycji ZAIKSu w dziedzinie sztuk wizualnych. A tam – dla każdego coś dobrego – choćby unikalne i dynamiczne zdjęcia sportowe ukazujące inne oblicze rywalizacji, elementy wielkomiejskiej rzeczywistości. Charakterystyczny reportaż humanistyczny, konsekwentnie utrzymany w czarno-białej, charakterystycznej konwencji.

Pozostając w temacie fotografii, po Tilmansie, przez cały marzec możemy oglądać wystawę Rafała Milacha „7 pokoi” w Galerii Zachęta. Prezentowane obrazy to codzienność trzydziestoletnich mieszkańców Rosji – ich rzeczywistości, przestrzeni i otaczającego społeczeństwa. 6-letnią podróż i relację z bohaterami prac sam opisał tak: „Najpierw byli przewodnikami po miastach, potem stali się bohaterami moich zdjęć, a na koniec przyjaciółmi, z którymi więcej rozmawiam, niż ich fotografuję.” A w czwartki zobaczcie to za darmo!

W Galerii Asymetria rusza projekt

„Fotodizajn” – nazwy wyjaśniać nie trzeba, temat niezwykle interesujący i w równie interesujący sposób zapominiany. N i e w s t y d ż m y s i ę polskiego wzornictwa. Cykl wydarzeń galeria rozpocznie wystawą „Fotosoc-dizajn” z lat 50. i 60. Zobaczymy między innymi fotografie mody i architektury – warszawskie dworce PKP w 1963 r. – Sumińskiego, prekursorskie aranżacje wystaw sklepów, wystrojów krakowskich mieszkań z prototypowymi meblami. W gablocie zostaną również pokazane historyczne zdjęcia i projekty Wojciecha Zamecznika z najważniejszego pokazu dizajnu okresu odwilży: Ogólnopolskiej Wystawy Architektury Wnętrz w warszawskiej Zachęcie z 1957 r.

W ulubionym Muzeum Sztuki Nowoczesnej przy ul. Pańskiej ostatnie dni KinoMuzeum – codzienne pokazy kontrowersyjnych filmów, dyskusje, debaty i wykłady. Mi się udało dostać na przedpremierowy „Wstyd” – film przełamujący jedno z ostatnich tematów tabu – seksoholizm. Produkcja niezwykle mocna i poruszająca po pierwsze – obrazem, a po drugie – tematyką i bardzo udanie opowiedzianą historią – nie przegadaną, do bólu prawdziwą i podejmującą wiele wątków dotyczących nas wszystkich -umiejętności budowania relacji z drugą osobą, życia w dwóch płaszczyznach, zdeteminowanego bytu...

W Muzeum nastąpiła również re-aranżacja przestrzeni księgarni, w celu otrzymania nowej przestrzeni dla kawiarni „Moderna” prowadzonej przez chłopaków z PKP.

Co do nowych miejsc, może nie w ramach kultury wysokiej, ale warszawskiej ciekawostki – wiecie, że na Polnej otworzyły się super, belgijskie frytki? Ręcznie robione sosy, papierowe „take-away” rożki i przystępna cena. A jeszcze ostatnio zaczęły wypiekać domowe zapiekanki i smażyć pączki, to tak w ramach postnego umartwiania się.

Jeszcze co do nowego – a właściwie bardzo starego miejsca – na placu 3 Krzyży, w miejscu starego „lajkonika” – miejsca spotkań warszawskiej śmietanki z lat 50. – otworzył się Starbucks. I normalnie pokręcilibyśmy na to nosem – znowu sieciówka-śmietniówka! Tym razem powiemy jednak – dobrze, że jesteście! Po dwudziestu latach stacjonowania różnych podejrzanych sklepów z ubraniami, firma została sponsorem konserwacji kulturowych malunków dawnej kawiarni. Warto je zobaczyć przynajmniej przez szybkość.

Na początku marca rusza sprzedaż biletów na Warszawski

Na koniec informacje o festiwalach uczniowskich – pod koniec marca mamy Sofę w Witkacym, chwilę później – Tfaż w Żmichowskiej i Festiwal Filmowy w Kochanowskim. Artysto, zgłoś się, widzu przyjdź!

A na deser deserów ciekawostka – wiecie o piątkowej, popołudniowej audycji „Kultura w Wielkim mieście” w „Dwójce”? Nie wiecie? Posłuchajcie, koniecznie, koniecznie; takich ciekawych gości i interesujących tematów w mediach (jak mówi moja babcia).

9		2	8	6		7		
		3	7			6		
		6		3			1	
3		5				4		
	4			8			3	
		9				2		1
	3			2		5		
		1			8	3		
		8		9	3	1		6



		7			8	2	4	
3				2		7	9	
					1			3
	8			2				6
	5		8		3		9	
1				9			2	
2					5			
		5	1		4			2
	3	1	7			5		

Su^Q od Vionca

		9	6					8
					7		5	3
3		2	8		5			9
	2		3			5		
9								2
		8			2		4	
8			2		6	9		4
6	5		1					
2				3	6			

7	3			9	8	2		
9				4			7	
							3	
8				9		5	4	6
2					3			7
	4	3	1		7			2
		7						
	6				1			4
		2	3	7			8	6

Rysunek na okładce: Anna Olech

Staszic Kurier

Redakcja

Staszic Kurier

XIV Liceum
Ogólnokształcące
im. Stanisława Staszica
ul. Nowowiejska 37a
02-010 Warszawa

kurier.staszic.waw.pl
kurier@staszic.waw.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, jak również zastrzega sobie prawo do opracowywania redakcyjnego i skracania tekstów oraz zmiany nagłówków i tytułów.

Redaktorzy naczelni

Jakub Mrozek
Marian Wiatr

DTP

Michał Radek

Korekta

Kacper Bryskiewicz
Barbara Mroczek
Dominik Plewa
Michał Radek

Redaktorzy

Patryk Chmielewski

Mateusz Dziurzyński
Igor Kotrański
Barbara Łazeba
Aleksandra Sosnowska
Martyna Stysło
Michał Wiąckowski
Dorota Wiśniewska

Grafika

Anna Bujak
Damian Chiliński
Mateusz Dziurzyński
Magdalena Molenda
Anna Olech
Michał Radek

staszic kurier